



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

PRACA KOBIET

na Wystawie Tkackiej.

Sto kilkadziesiąt wystawczyń, to liczba już nie mała, a ztąd bardzo pocieszająca, że prze-
ważnie przedstawia przemysł domowy, który w dzisiejszem położeniu ekonomicznem przybiera znaczenie wyższe, niż kiedy. Wsie nasze ubożają, grozsz staje się drogiem i tam, gdzie matka rodziny tak się rządzić potrafi, aby przemysł domowy rozwinął się we wszystkich możliwych gałęziach swoich i bronił od wydatków, tam jest nietylko gospodyni najlepsza—tam jest dobra obywatelka! Życie społeczeństwa, podobnie jak życie jednostek ma przejścia i doświadczenia rozmaite, i tak, jak jest w pewnych momentach obywatelska ofiara krwi, jest w innych obywatelska ofiara znoju, i cnota pracowitego trudu, cnota oszczędności podnosi się wtedy do znaczenia wysokiej cnoty patryotycznej.

Wystawa wyrobów wiejskich przedstawiła głównie prace włościanek, nie ze wszystkich stron przecież, i brakuje ich z tych nawet okolic, gdzie wiemy, że są rozwinięte pewne gałęzie pracy ręcznej, zostające w większym stosunku z przemysłem tkackim, niż, na przykład, malowanie na tkaninach. W okolicach Ojcowa i w całej tej połaci kraju kobiety tak haftują na perkalu i cerują na tiulu odświętne okrycia głowy, że nie kupują już drogich stosunkowo chustek kolorowych i dochodzą nawet w tym kierunku do pewnej wytworności, która już niejaki artyzm obja-

wia. Chustki te powinny się były tak znaleźć na Wystawie, jak się znalazły tam przepiękne hafty złotem i srebrem kobiet podolskich. Ale widać, że we dworach stron tamtych, niema pań takich, któreby interessował ten przemysł krajowy—któreby chciały, kosztem bardzo niewielkiego trudu, ogółowi go przedstawić i dać mu przez to tak poparcie moralne, jak i możność wyższego rozwoju. Już przed kilku laty prof. Pleniewicz uderzony został przemyslną pracowitością włościanek okolic wspomnianych i próbki haftów tamtejszych do Warszawy przywiózł, redakcyi pisma naszego je przedstawił i kwestya ta—kwestya opieki nad domorodnym tym kunsztem: podania robotnikom wycowniejszych wzorów, i wprowadzenia ich prac na miejskie rynki zbytu została podniesioną obszernie w piśmie naszym w *Kronice Działalności Kobiecej*. Że bez skutku—dowodzi fakt, iż haftów i cerowań białych na tiulu wcale na Wystawie niema.

Przemysł domowy włościanek, z tkactwem złączony, istnieje we wszystkich stronach kraju, w rozmaitych swych odmianach. Przedstawiło go przecież tylko okolic kilka—tych, gdzie kobieta wykształcona poczuła się do obowiązku opieki i kierowania kobietą niewykształconą: wspomaganie jej w uczciwej pracowitości i zabiegach oszczędnych, aby praca jej własnych rąk zaopatrywała rodzinę i broniła w ten sposób od wydatków kosztownych. Może się to stało przez brak zwrócenia na ten punkt obowiązku swego dostatecznej uwagi—może to jest więcej niedostatek pomysłowości, niż dobrej chęci—wierzyć w to chcemy.

Dwory same przedstawiły niezmiernie mało, tak mało, że i tu przypuścić trzeba również niedostateczne zwrócenie uwagi na znaczenie wystawy i jej dobroczynnych skutków, wzajemnego pouczenia się w pracy, coraz potrzebniejszej ubogiej krainie w chwili ciężkiego ekonomicznego przełomu. To, co jest owocem ciągłej i zwyczaj-

nej jakoby pracy, traci często w przekonaniu naszym doniosłość swoją, i nie zdaje się być godnem przedstawienia oczom ludzkim, ale, jak tu, błąd to jest i fałszywe rzeczy pojęcie. Tak narody, jak rodziny, jak jednostki, nadzwyczajnościami nie stoją: żywi je i utrzymuje ten właśnie trud powszedni, który jest codziennej pracy plonem: tym codziennym zarobkiem, z którego składa się całe mienie nasze. Że zaś kraj powinien wiedzieć, co posiada, a czego mu braknie, to już rzecz w potrzebie swojej zrozumiała dla każdego, i takim jest właśnie cel wystaw wszystkich. Nie o popis tu chodzi, nie o próżność naszą zadowoloną, ale o ten obrachunek posiadanych zasobów, a daleko naukę wzajemną, o zdobycie sobie wiadomości, co kraj posiada, a czego mu nie dostaje. Obok tego miło jest jednostkom pojedynczym dowieść sobie i pokazać innym, że nie są istotami pasożytnymi—że też przykładają się uczciwie do dobrobytu ogólnego i majątek wspólny pomnażają, nie dopuszczając, abyśmy się, jak ludy dzikie, żywili towarem wchodowym—pracą innych, za którą oddaje się im ostatni grosz posiadany, ubożąc się przez to systematycznie. Póki jeszcze nasze zboże zasilalo rynki Europy, mogliśmy dowodzić sobie jakotako, że to jest podział pracy; dziś przecież, gdy dowóz ze stron innych do konkurencyi stając, nasz handel zbożowy zabija, trzeba nam i na innych polach pracy działalność odpowiednią rozwijać, abyśmy nie musieli, zmieniając według okoliczności słowa poety, powiedzieć krajowi naszemu:—Nędzą narodów jesteś i żebrakiem...

Przewrót ekonomiczny w gospodarstwie rolnem sprawia, że tensam stosunek, w jakim kraj nasz powinien się trzymać względem krajów ościen-
nych, musi być stosunkiem pojedynczych rodzin, zwłaszcza obywateli wiejskich, w zakresie wydatków na zewnątrz, w skutek tego trzeba wytwarzać sobie możliwy przemysł domowy, trzeba do niego możliwie ograniczać potrzeby nasze, aby nie było

bankructw i upadków okrutnych, aby się utrzymać przy ziemi! Rola kobiecego gospodarstwa wzmaga się przytem ogromnie i znaczenie jego potęguje się niezmiernie. Złe było, żeśmy w ekonomii rodzinnej nie umieli się tak urządzać, aby ciężka chwila przełomu zastała zapasy, od ruiny broniące, ale lepiej późno, niż nigdy, i dlatego tak troskliwie oglądaliśmy się na obecnej Wystawie Tkackiej za okazami dworskich wyrobów domowych: za dworskim damowym płótnem, za dworską domową tkaniną kolorową, w jaką odziewają się na codzień bardzo nawet zamożne panie wiejskie i ich dzieci w całych Prussach. Tka się to na krosnach domowych; szlacheckie ręce „freyherrin“ dokonywają tego, a że i nasze potafia to samo skoro chcą, dowiodły tego pp. Zarębianki, które parę lat temu na którejsz z wystaw, przedstawiły bardzo ładne i razem bardzo praktyczne tkaniny własnego swego wyrobu domowego.

Ale użaliwszy się nad tem, czego wystawie tegorocznej pod względem pracy kobiecej brakuje, trzeba się pochwalić tem, co jest, a że między wystawczyniami znajduje się znana czytelnikom naszym p. Emilia Korsakowa z powiatu Siebiezkiego, ze wsi Anniska, już można powiedzieć: „I swoich czasów nie obwini—sprawodawca!“

(Dokończenie nastąpi)

W ROCZNICĘ ŚMIERCI.

Zosieńko luba—nasza ukochana,
Prędkoś nam zwiędła w wiosennym rozkwicie,
Zosieńko nasza nieodżałowana,
Prędkoś się, prędko przemknęła—przez życie,
Jak tchnienie wiosny, co ku ziemi płynie,
Jak ten obłoczek co niknie o świcie.

Gdybyśmy chcieli dziś na twoim grobie
Tyle ci świateł zapalić płonących,
Ile leż naszych spłynęło po tobie,
Ile jest w sercu wspomnień niegasnących:
Toby tych świateł na twojej mogile
Było tak wiele—ach, byłoby tyle,
Że jasne gwiazdy, co świecą na niebie,
Zbłądłyby przy nich... Tak płaczemy ciebie!

Gdybyśmy chcieli dziś na twoim grobie
Tyle ci kwiatów zasadzić kwitnących,
Ile my razy mówimy o tobie,
Ile ci westchnień święcimy gorących:
Toby tych kwiatów na twojej mogile
Było tak wiele, ach byłoby tyle,
Żeby ich dla nas zabrakło na ziemi
By twą mogiłę przystroić dziś niemi.

Tak my, Zosieńko, okryci żałobą,
Smutni—daremnie tęsknimy za tobą.
Już rok dobiega—jak nas opuściłaś,
Jak poszłaś ciemną i nieznaną drogą,
Poszłaś samotna—a nas zostawiłaś
W łzach—które nigdy obeschnąć nie mogą.

Poszłaś samotna—a wszystko zostało,
Co otaczało ciche życie twoje,
I wzięłaś tylko świeże bluszczu zwoje,
I wzięłaś tylko twą sukienkę białą...

I wzięłaś tylko szczęście nasze z sobą,
I wzięłaś źródło serdecznej pociechy,
I wzięłaś wszystkie radosne uśmiechy,
I wszystkie myśli—co poszły za tobą.

Łzy niesłakane, wrzące w duszach modły,
Znów nas do miejsca żałości przywiodły:
Spłyn ku nam cicho—gdy na twoim grobie,
Do ciebie tęskniąc—marzymy o tobie.

Helena Thullie

NA STARYM GRUNCIE.

POWIEŚĆ

Przez

M. Febroniusza.

(Dalszy ciąg).

Stanisław zmieszał się i uczył w sobie coś, jak niespokojny wyrzut sumienia, ale już był w takim stanie buntu, który prędko przytłumia wszelkie wzruszenia dobre. Wysłał się przedewszystkiem na utrzymanie pozorów spokojności i obojętne przyjmowanie tego, co zaszło pomiędzy nim a ojcem, i spotrzebowywał na to cały zapas swej duchowej siły. Wiedział, że jest miękkim, że ma charakter słaby, i właśnie dlatego tak się czynił twardym i zaciętym: lękał się, aby nie popełnić słabości, i nie on jeden zbłądził przez to w życiu, wykołubił je. Wszyscy ludzie uczuciowej natury tak się usiłują obwarowywać przed nią w ważnych momentach życia, z trwogi przed sercem własnym, aby ich nie sprowadziło z drogi właściwej, i przysłowie:—co krok, to skok—powstało z obserwacji czynionych nad postępowaniem takich osobistości, u nas, na nieszczęście bardzo licznych. U Stanisława łączyła się z tym wstydem fałszywym i fałszywa obawa, aby ojciec nie posądził go o interessowność—o żal straty majątkowej, i to głównie kazało mu trzymać się tak wyniosłe, tak chłodno rzecz traktować. Śniadanie to było dla niego może najboleśniejszym aktem tej tragedii, która się rozgrywała pomiędzy nim a ojcem; dopił herbaty do kropki ostatniej, wysilił się na zjedzenie kawałka chleba z masłem, który go dławiał jak połknięta trucizna, nakoniec zapytał ojca: czy mu pozwoli wziąć konie do drugiej stacyi, w przypadku, gdyby nie znalazł w miasteczku gotowych?—Spiesz się—rzekł, jakgdyby tłómacząc się z tej chęci użycia jeszcze czegoś, co należy do ojca, a ten, który go rozumiał, spojrział na niego z żalem.—Możesz—odparł—możesz robić wszystko, co chcesz, bo już dzieckiem nie jesteś, ale pamiętaj, że pośpiech nie zawsze jest dobrym.

—Festina lente—dodał smutnie i poważnie, patrząc mu w oczy.

W tej chwili dał się słyszeć turkot kół. Karetka Stanisława zajęchała, i on się podniósł. Teraz był blady, ale trzymał się mocno. Obejrzał się w koło pokoju, jakgdyby patrzył, czy nie zostawił czego, ale nie—miał wszystko! Torebka podróżna wisiała na nim, rękawiczki wziął ze stołu podnosząc się, był więc zupełnie gotowym do drogi.

I p. Andrzej wstał także.

O! dlaczegoż w tej chwili właśnie skrzypnęły drzwi, dlaczegoż lokaj wszedł, oznajmiając, że zajęchano?

I syn i ojciec posunęli się ku drzwiom, ale w sieni już, zanim przestąpili próg ganku, ojciec

się zatrzymał.—Czy nie masz mi nic do powiedzenia?—zapytał Stanisława.

—Ja?... nie.... ale może ojciec co mi rozkaże?

—I ja nie mam nic—do rozkazania...

Ze schodów górnego piętra schodził Jakób, niosąc na plecach podróżny kuferek Stanisława; ojciec i syn rzucili się przed nim, czyniąc mu drogę wolną i wyszli dopiero za nim. Gdy przy-mocowywano kufer wtyle powozu, Stanisław schylił się do ręki ojcowskiej.—Zegnam ojca—rzekł, kładąc na niej usta.

Były zimne jak lód, bo były i białe jak chusta.

Ojciec pocałował go w czoło, ale taksamo też: ledwo je poruszeniem warg dotknawszy. Ale potem położył mu nagle rękę na ramieniu.—Czy nie żałujesz tego, co zaszło?—zapytał patrząc mu w oczy.—Czy nie chciałbyś coś cofnąć... po namyśle głębszym? Mów... między ojcem a dzieckiem niema dumy...

—Jest—zawołał Stanisław głosem nagle zmienionym, niekłamany już i prawdziwym swym głosem: namiętym i pełnym gorzkiego uniesienia—o! jest...

Wyprostował się, podniósł czoło wyniosłe i był to jakgdyby wybuch miny, stłumiony przebiegiem natychmiast. Zszedł z ganku szybko; lokaj, stojący przy drzwiczkach karetki, otworzył przednim, ale on teraz przystanął.

Krew, która mu uderzyła na twarz przed chwilą, już z niej ustąpiła. Blady jak mur, zdawał się patrzeć w głąb powozu, jak się tam ma pomieścić, aż naraz ruchem szybkim, jak błyskawica, zawrócił się, kląkł przed ojcem, pochwycił jego rękę i pocałował—inny już, o innym niż poprzednio pocałunkiem, i natychmiast znalazł się znów przed karetką, do której wskoczył:—Ruszaj!—krzyknął na stangreta.

Konie były młode i szarpnęły zaraz z miejsca; p. Andrzej zaledwie zdążył wyciągnąć rękę i zakreślić w powietrzu za odjeżdżającym krzyż.

—Pojadę do niego zaraz jutro—rzekł sobie silnie wzruszony.

Ale nie—nie pojechał... Pod kola losu padła jakaś przeszkoda: jakaś odrobinka, jakiś okruszek spraw życiowych, i wybrał się w tę drogę dopiero pojutrze.

Stanisław przybył do Warszawy przed zachodem słońca i była chwila, że chciał jeszcze wyjść na miasto, ale rozmyślił się i tylko napisał list do jednego z kolegów swoich, dawnego znajomego jeszcze z ławy uniwersyteckiej, z którym nie żył teraz blisko, bo drogi ich życia rozchodziły się przez różnice położenia majątkowych, choć ludzie lubili się i cenili wzajemnie. Byli niemal w jednym wieku, ale tamtemu miłość wcześniej zasłała drogę życia, i żonaty już był, miał dwoje dzieci, a że zasobów żadnych poza pracą zawodową nie było, że nie mógł urządzić się elegancko i ze względu na rodzinę musiał chwycić sprawy, choćby najmniejsze, wyrobiło mu to klientelę ludzi niebogatych, więc niehojnych i opędał się jak mógł, jeżeli już nie wręcz biedzie, to przynajmniej twardemu życiu z dnia na dzień, którego nikt ani lekkim, ani wesołym nazwać nie mógł. Do niego-to Stanisław napisał zaraz prawie, gdy się w domu znalazł, prosząc, aby do niego zaraz, a przynajmniej najprędzej jak będzie mógł, przybywał.—Bardzo mi jesteś potrzebny—pisał.—Bardzo... bardzo. Choć-byś miał robotę, to ją odłóż, bo jest to wielka usługa przyjacielska, o którą cię proszę i w której nikt inny zastąpić cię nie może.

Pan Walery Rębski, aż się zląkł, list taki odebrawszy. Przychodziły mu do głowy sprawy polityczne, pojedynki, i co prędzej też znalazł się na Placu Teatralnym.—Czy p. adwokat zdrów?—zapytał niespokojnie dependenta w kancelaryi, ale Stanisław odpowiedział mu na to sam, głos jego w gabinecie swoim posłyszawszy:—Zdrów jestem—odparł—ale tylko co z drogi od ojca wróciłem, a interes, który do ciebie mam, Walery kochany, zwłoki nie cierpi... Wyjeżdżam z Warszawy i kancelaryą moją zdać ci chcę—dodał, gdy się sam na sam znaleźli.—Ty zbyt interesów na głowie nie masz, obejmij więc i moje; dla mnie będzie to łaska, a ty sobie może lepsze istnienie wyrobisz.

— Wart tego jesteś—dodał—a przytem masz żonę i dzieci, na które pracować musisz. Nieraz mi to ciążyło na sercu, że zabieram miejsce potrzebniejsze dla innych, i teraz też zdobyłem się na postanowienie—wyjeżdżam...

— Do ojca na wieść?

— Wyjeżdżam... odpowiedział Stanisław krótko i dodał tylko, że musi to nastąpić w możliwie najkrótszym czasie.— Wiem, że jutro nie można, bo są formalności do załatwienia, tak względem zdania ci kancelaryi, jak i paszportu, ale pojutrze, pojutrze muszę jechać!.. zakończył.

Tak było rzeczywiście: jechać musiał, jechać było mu potrzeba, bo wzburzone uczucia zranionego serca pędziły go z miejsca, na którym wytrzymał już nie mógł.—Zwaryowałbym, gdyby mi tu trzy dni siedzieć przyszło... mówił sobie: pieszczoch losu, szczęśliwy całe życie, nie umiał się cieszyć cicho łamać i dusiło go tu powietrze, udręczały twarze ludzkie—wszystko, co wkolo siebie miał. Tego, co w nim było, wyrzucić z duszy nie mógł, lecz zdawało mu się, że potrafi lepiej tego dokonać, gdy się coperdziej znajdzie gdzieindziej.—Jechać muszę... powtórzył przyjacielowi.

Walery zaniepokoił się znowu, i nietylko tem, co usłyszał—tą nagłością wyjazdu, pilnego jak ucieczka, ale głosem i twarzą Stanisława.—Co tobie jest?—zawołał.—To nie kaprys już, ani jakaś chęć zabawy. Wyjazdu na swobodę... Coś cię dotknęło, coś ciężkiego... Choć nie widuję cię tak często jak niegdyś, bo muszę orać nielekka, moję skibę, aby żona i dzieci miały co jeść, ale w uczuciach moich dla ciebie nic się nie zmieniło. Powiedz mi, co się stało; ufasz mi chyba podawnemu, a że ja podawnemu życzliwym ci jestem, więc wiedzieć pragnę: co cię ztąd wypędza tak niespodzianie?

Stanisław chciał fanfaronować, udawać jakąś kawalerską sprawę, ale nie mógł.—Nie pytaj mnie, druha stary... zawołał w końcu—nie pytaj, bo nie odpowiem... Wyobraź sobie coś, jak zawalenie się tego oto sufitu nademną... a raczej zawalenie się takiego kawałka niebios, o którym myślałem, że jest nad głową moją najsilniej już utwierdzonym... Masz dobre serce, to wiem nie od dzisiaj, pomóż mi zatem jak przyjaciel, abym się zpod gruzów wydobył, bo mnie przydusić mogą.

Mówił z wielkiem wzruszeniem, ale i ze stanowczością wielką i p. Walery zrozumiał, że się tu nie odmienić już nie może. Najpierw należało załatwić sprawy osób trzecich: to jest sprawę kancelaryi, ale nie na tem tylko kończyło się to, co Stanisław zamierzył. Oddawał przyjacielowi i mieszkaniu swoje, sprzęty—wszystko zgola, co się tu znajdowało, od najmniejszej do największej rzeczy. Tamtem biedak nie miał przecież pieniędzy, aby to nabyć, ale Stanisław uprzedził go w trosce o tem. Myślał przez całą drogę—myślał przez całe długie mil dziesięć i ułożył plan cały, co i jak zrobić będzie trzeba.—Nie mogę przecież zabrać tego ze sobą—tłómaczył zmieszane-mu człowiekowi—wziąć tego na plecy, ani też zwołać handlarzy i sprzedawać krzesła po krzesła, książki po książce. Może zepsuty jestem przez życie, jakie dotąd pędziłem, ale takie rzeczy wstrętne mi są i prędzej podłożył-bym tu ogień i spalił to wszystko. Oddasz mi dług, gdy wrócę i upomnę się o niego. Ty się dorobisz, a ja może wtedy potrzebniejszym będę, niż jestem dziś...

— Może zwłaszcza będę potrzebował cichego kąta i dobrych ludzi, to się utulę przy tobie i rodzinie twojej. Że darmo wziąć nie chcesz, rozumiem to, ale wystaw mi kwit na sumę, jaką przypuszczasz, że mi winnym się stajesz. Jeżeli będę żył, to się zgłoszę po należność, jeżeli zaś umrę kędyś daleko, to, jak wiesz, spadkobierców żadnych nie mam—nikogo, coby do spadku po mnie mógł sobie prawo rościć, i w takim razie oddasz to wedle Boga i sumienia jakiemu biedakowi, samotnemu na świecie, któryby nie miał, ani matki, ani ojca—sierocie jakiemu...

Nie dodał:—Tak jak ja... ale czuć było, że to myślał, bo zanadto był wzruszony, aby zręcznie

klamać mógł, rana też, którą naciskać musiał, była na to za świeżą i przyjaciel popatrzył mu uważnie w oczy. Nie zapytał przecież o nic, bo się domyślał, że kryć się tu musi na dnie historii jakaś, tak ciężko smutna, że Stanisław głosić jej nie chce. Parę godzin siedzieli we dwóch tylko w gabinecie Stanisława, który następny swemu stan ważniejszych spraw objaśniał, notatki potrzebne dawał i trochę malował ludzi, z którymi trzeba tu było mieć do czynienia, a odzyskał już zimną krew i wywiązywał się z tego dość dobrze, miał nawet humoru trochę i ironii, gdy mówił o ludzkich nadziejach i tak zwanych perspektywach życia, aż Jakób, kilkakrotnie zaglądający na nich przez drzwi, wszedł tu nakoniec. Przynosił herbatę i przekąskę do niej, ale się zarazem upomniął, aby Stanisław po drodze odbytej za długo przy robocie nie siedział. Walerego dobrze znał, więc też go poprosił, aby dalszy ciąg konferencji, jak się już wyrażać nauczył, odłożono do jutra.—Bóg dał ludziom dość czasu na wszystko—rzekł.—Byle go marnie nie trwonić, wystarczy go zawsze człowiekowi na to, co mu rzeczywiście potrzeba, ale sił zabraknąć mu może. Jeżeli ich ochraniać nie będzie.

—O! sił jest w nas więcej, niż się to na oko zdawać może—odparł mu Stanisław. Daj nam tu tylko butelkę jakiego dobrego wina. Chce mi się tego po drodze.

—I chcę też dobrze spać, jak mnie do tego, mój stary, namawiasz, a często się zdarzy, że po znużeniu właśnie nie śpię... Nerwowo jestem—dodał, do Walerego się zwracając—i wyłom to, w fortecy mojej wewnętrznej, przez który nieraz wejście tam coś, czego bym przy usposobieniu innem nie puścił. Nie umiem działać z zimną krwią, spokojnie!..

Walery był coraz pewniejszym, że spadło na Stanisława jakieś brzemię, trudne do podźwignięcia, i ani mu dał wina dość pić, ani nie siedział zbyt długo, obiecując, że jutro jeszcze przed południem widzieć się z nim będzie. Kiedy się przecież do wyjścia już zabierał, Stanisław poprosił go nagle o zrobienie mu jednej jeszcze przysługi. Potrzebował mieć prędko paszport zagranicę, a sam nie miał ani czasu, ani głowy, żeby go sobie wyrabiać.

—Chciałbym wyjechać, jeżeli nie jutro na noc, to pojutrze rano, chciałbym tego koniecznie, koniecznie, a widzisz jak obciążony jestem robotą—mówił.—Pilno mi jest przecież, pilno tak, żeby w tej chwili chciał się ze stołka zerwać i uciekać! Wyręcz mnie też, bracie, a będę ci wdzięcznym całe życie.

Legitymacje, do paszportu potrzebne, zaraz mu też dał, a Walery coraz to niespokojniej go obserwował.—Gdzież ty jechać chcesz?... Gdzie i po co?—zapytał.

—Wyrabiam mi paszport do Francji, do Paryża—to wystarczy... Rzeczywiście jadę przecież do Algieru na lwy polować.

Miał na twarzy wypieki od wina i roboty, która go zmęczyła. Fantazja, którą objawił, urodziła mu się może w głowie w tej chwili właśnie, gdy o niej mówił. Znać to było po nim prawie, bo zapytany przez Walerego, gdzie mianowicie jechać chce? wydawał się jakgdyby pytaniem tem zaskoczony i zdawało się, że odpowiedzieć może, jak ten inny tułacz, pędzony też w świat, tak jak on bez celu:—Nie dbam do jakich brzegów przypłynę, bylebym nazad nie płynął...

Potem przecież stał się nagle bardzo wesołym, skoro się, jak mówił, przyjacielowi ze wszystkim zwierzył i ciężar wszystkich zachodów życia na niego zwałił.—No, teraz już wiesz, że nie chcę uciekać na księżyc, ani do Państwa Niebieskiego—mówił mu, po ramieniu go klepiąc—Choć mówią, że Chiny to kraj bardzo ciekawy, bo oryginalny i gdyby tam pojechał, nauczyłbym się znakomicie grać w szachy...

Ale po chwili spowaźniał. Widząc, że Walery niespokojnie na niego patrzy, wziął go za rękę, którą ze wzruszeniem uściśnął.—Jesteś tak, jak byleś, pocziwym i serdecznym chłopakiem—rzekł.—Bóg zapłać ci za to, że mi trochę życzliwości okazujesz, bo przyznaję ci się, że jest ze mnie baba, nie mężczyzna, jak się należy, co za-

pewne i ty wiesz, bo było tak ze mną zawsze... Matka mnie pieściła i rozpieściła trochę. Potrzeba mi czasem—potrzeba bardzo współczujące serca ludzkie koło siebie znaleźć, a tego, jak wiesz, nie ma na świecie do zbytku... Dziękuję ci też, żeś mi to dziś właśnie dał, żeś mi dziś właśnie przy twej dobroci trochę ugrzać się pozwolił.

—Choć niegdyś z przywiązania mego do ciebie gniewałem się na to, żeś się tak zaraz na wstępie do życia ciężarem rodziny obarczył, ale teraz dochodzę do przekonania, że to może najsmartzej, najpewniej obrona droga do szczęścia. Mieć jakieś serce, które nas nad wszystko kocha... o! to wielki skarb: port dobry gdzie się przed wszystkimi burzami losu bezpiecznie schronić można...

—Za to straszna to rzecz, straszne uczucie pustki, gdy człowiek, obejrawszy się dokoła, spostrzeże naraz, że nie należy do nikogo, że nikomu na nic i do niczego potrzebnym nie jest...

—A czy ty wiesz, bracie—dodał nagle—że w tych czasach właśnie byłem bliski tego, co się nazywa zakochaniem... bliski, bardzo bliski miłości... Brakło mi tylko czasu, aby się to stało, i doznaję też jakgdyby uczucia straty poniesionej...

—Czyżby to wypchnęło cię tak nagle z obranej kolei życia?—zawołał Walery.

—Gdzież znowu!—odparł Stanisław żywo, ale i z pomieszaniem pewnem—gdzież znowu! Żeś ty sam romantyk, to sądzisz tak i innych, ale ja, Bogu dzięki, tej natury nie mam i trzeźwiejszym trochę jestem. Mimo to przyznaję przecież, że lepiej jest kochać, wtedy nawet, gdy się nawzajem kochanym nie jest, niż być jak okręt bez busoli, który żadnego punktu nie ma, by się ku niemu zwracać. Zaczynam nawet rozumieć tego Włocha, który się w portrecie Beatrixy Cenci tak szalenie kochał, że pomieszania zmysłów dostał, i pomieszanie na boku zostawiając, uważam, że to jest miłość jak inne... Ma się swój punkt świetlany... to główna rzecz...

—Ale ja cię tu gadaniną moją trzymam, a tam w domu może cię niespokojnie czekają, a czuję, że i ja sam odpoczynku potrzebuję. Tylko proszę cię, proszę, o paszporcie nie zapominać, bo ani ci wypowiedzieć mogę, jak potrzeba mi wyjechać... Starą suknię chcę zrzucić, bo zużyła się i lachman tylko z niej został.

—O Algierze mówiłeś mi żartem—zapytał go Walery poważnie, a Stanisław przymusił się do śmiechu—Lwy nie są ani trochę niebezpieczniejsze od życia, które się w tym pokoju na przykład, wieść może—zakończył i pożegnał przyjaciela, a na Jakóba zaraz zadzwonił, aby go rozebrać przyszedł, bo wiedział, że pocziwy sługa do rana by w kacie drzemał, póki on się nie położy. Stanisław uważał to czasem za ucisk, ale mimo to czuł dla starego sercu wdzięczność. Prawdę mówił Waleremu, że go matka rozpieściła: potrzeba mu było wiedzieć, że ma gdzieś niedaleko jakąś istotę kochającą—potrzeba mu było koniecznie czuć, że jest komuś drogim.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 31 Stycznia 1888 r.

Zima. — Gwałtowne zmiany. — Zdrowotność i miłosierdzie ze skrzypcami. — Zaćmienie księżycy i odwołany spektakl. — Śmierć Labiche'a, najpopularniejszego z autorów komicznych paryżkich. — Akademia Francuska. — Mowa p. Gréarda. — Ludwika Michel. — Zamach na jej życie. — Sprawy teatralne. — Nowości zimowego sezonu. — Paillerona „La Souris“ i Sardou'a „La Tosca.“
Charakterystyka autorów i utworów.

Mamy tego roku obrzydliwą zimę w Paryżu. Wogólności zimno jest dosyć łagodne, bo, jak do-

tań, jeszcze nie przeszliśmy 6 ciu stopni poniżej zera, ale ciągle i raptowne zmiany, z odwilży do mrozu, są prawdziwą klęską dla zdrowia — człowiek nie jest przecież tą sztabą żelaza, którą można bez końca rozpalać i następnie hartować w zimnej wodzie; to też chorych bez liku, tak, że się nawet obawiano prawdziwej epidemii ospowej.

Od trzech dni właśnie mamy tu nawiedziny zimy z mrozem, ze śniegiem, z przenikliwym wiatrem, co nas, zlekka okrytych, jakby na śmiech, do kości przejmie. Fatalne to dla biednych, chociaż nie przeszkadza wcale, jednym tańczyć, balować i zmiatać półmisków, kiedy inni z zimna i z głodu, zaskrzepli wśród straszliwej biedy, oczekują, co im przyjdzie z tego miłosierdzia, co się upaja muzyką i szampanem!

Dziwna to jest dobroczynność naszych czasów, z muzyką, tańcami i z pyszną kolacją!... Ale ekonomia polityczna ma na to gotową formułę, która wam wytłumaczy, że to jest najprostsza droga do nieba. I to prawda, mówił nasz stary proboszcz od S-go Franciszka, najprostsza to i najkrótsza droga dla tych, którzy na to miłosierdzie czekają.

Ale tak wszystko jest złudzeniem, marą i uprzedzeniem na tym tu biednym świecie. Niegdyś zamówienie księżycy było iakby zapowiedzią klęski i nieszczęścia; dziś jest zabawą dla tłumu, a nauką pomocą dla dociekań uczonych. To też i my czekaliśmy ciekawie zapowiedzianego zaćmienia naszego sodalisa na 28 b. m. Cóż za zawód! Nawet ten pocziwy księżyc, ten czuły świadek miłosnych schadzek, nie dotrzymał słowa; a przynajmniej tak się urządził, że wszystko się odbyło gdzieś tam, za korytną z prostej szarej mgły w postaci obłoków; ażeby lepiej jeszcze się uśmieć z ciekawych gapiów, psotnik o 9-ej w wieczór, właśnie w chwili, kiedy się miał rozpocząć zapowiedziany spektakl, sygnął jak z rękawa zimną śnieżycą i najwytrwalszych zapędził do domu!

Wszystko mija i przechodzi, niestety! Oto weseli Paryżanie, ci co się lubią uśmieć, bodaj z siebie samych, ponieśli do grobu kilka dni temu, jednego z tych, którzy posiadają przywilej bawienia współczesnych; to uczucie wesołości i śmiechu, czysto paryżkie, nieboszczyk Labiche posiadał w najwyższym stopniu. Jego komedye, lekkie, koszlawe, mizerne, mało znane za granicami Francji, dla Paryżanów były największą uciechą... Przez lat czterdzieści powoływały one paryżkie mieszczaństwo na ten wesoły festyn, gdzie każdy z nich mógł się odnaleźć we własnym swoim konterfekcie, i uśmieć się do rozpuku...

Biedny Labiche! ten wesoły kolezka umarł na chorobę sercową. Rzecz dziwna, a spostrzeżona już nieraz, iż pisarze i aktorowie komiczni, którzy posiadali właśnie ten rzadki talent pobudzania do śmiechu i wesołości, najczęściej umierali z choroby sercowej. Czyż, doprawdy, potrzeba tyle mieć serca, aby śmieszyć ludzi?

Komiczny talent Labiche'a, jak mówiłem, był to talent czysto paryżki. Śmiech jego, pełny i szczery, nie szuka powodów wielkiej finezyi, dowcip jego, zdaje się często zbyt grubym i nawet naciągany nieraz; ale to jest właśnie ów śmiech paryżkiego mieszczaństwa i ludu, to też nigdzie Labiche nie był tak dobrze zrozumiany i oceniony, jak w Paryżu. Ażeby zdać sobie sprawę z tego czem był Labiche jako autor dramatyczny i czem jest jego teatr, potrzeba czytać doskonałą przedmowę Augiera, którą ten przyjaciel i towarzyszy zmarłego napisał kilka lat temu, przy wydaniu Teatru Labiche'a (10 tomów).

Labiche umarł członkiem Akademii Francuskiej, gdzie został wybrany za wpływem swoich przyjaciół, a szczególnie Emila Augier'a, do którego mówił sam przecież, z powodu tego wyboru: „Ależ, mój drogi, co powie gramatyka, z którą się tyle razy rozminął?”

Mówiąc o Akademii Francuskiej, nie zapomniemy tu wspomnieć o solemnym przyjęciu p. Gréarda, vice-rektora akademii paryżkiej, (mybyśmy powiedzieli uniwersytetu), i o sławnym turnieju, na chwałę tego, co Starożytni uświęcili pod wyra-

żeniem: *bene dicere*, gładko mówić. Turniej to był ciekawy, bo nowo wybrany miał zająć miejsce p. de Falloux. Owóż p. Gréard jest to główna sprężyna systematu uświecczenia, laicyzacyi naukowej, gdy p. de Falloux był właśnie autorem obalonego przez Gréarda prawa 1850 r., które cały systemat wychowania opierało na dwóch głównych podwalinach: religii i władzy. W takich okolicznościach wypowiedzieć pochwałę swego poprzednika była to rzecz nie łatwa, ale, jak się spodziewać należało, p. Gréard wyszedł zwycięską ręką z tej matni—i nawet po odpowiedzi p. de Broglie, obrońcy właśnie dawniejszego systematu, zgodzili się wszyscy że wilk był syty i koza cała!

Ponieważ chodzi o to, co się zowie: *bene dicere*, wiecie zapewne z dzienników, jak to bywa czasem niebezpiecznie, zbyt wiele choćby dobrze mówić; wiecie, powiadam, że sławna Ludwika Michel, przewana tu *Wściekłą Owieczką*, postrzeloną została przez jakiegoś postrzelonego anarchistę. Przyjaciele jej z czerwonego zaułka narobili wiele hałasu około tego smutnego zamachu. Pokazało się w końcu, że, zamiast w głowie prelegentki, kula została w drucianej siatce kapelusza biednej Ludwiki Michel, z czego pokazuje się jasnie, że skówki żelazne nie są zbyt cenne, aby utrzymać w porządku wszystkie klepki w głowie, choćby nawet najslawniejszej konferencistki. Dzięki temu głowa jest na miejscu, ale powiada, że—braknie przecież piątej klepki!

Przystępuję dziś do obrachunku z teatrem... i zaraz uprzedzam, że: „de minimis, jak mówią łacinnicy, non curat praetor.“ Zostawiam zatem na stronie wszelkie przeróbki z powieści—takie nawet jak: *Sprawa Clémenceau*, utworzona ze znanej powieści, pod tymże tytułem Alexandra Dumasa syna; nawet ową tak piękną i bardzo tu wziętą przeróbkę z powieści p. Claretie, pod tytułem: *L'abbé Constantin*. Wszystkie operetki wogółności, i jednoaktowe komedye, nie mogą nas obchodzić wcale...

Przystąpię więc od razu do tych, których wielkie powodzenie i literacka wartość wskazują, jako główne świecące punkta zimowego sezonu. Są to dwie sztuki, według daty ukazania się na scenie: komedya Paillerona, *Myszka* (*La Souris*), i dramat Wiktoryna Sardou'a *La Tosca*.

Pailleron i Sardou! Obaj są już znani czytelnikom moim—i obydwoh mogli już nawet ocenić jako widzowie, bo dzieła ich dawno już należą do repertoaru naszej sceny polskiej.

Pierwszego literacki pakunek jest dosyć lekki wprawdzie. Jego komedya: „Świat, gdzie się nudzą“, której sławę autor zawdzięcza nietylko talentowi wielkiego dramaturga, ile okolicznościowemu wystąpieniu na scenę paryżką z prawdziwym pamfletem w rodzaju Arystofanesa, przeciw panu Caro i wielbiicielkom, zbyt może krzykliwym, tego filozofa—komedya ta jest tłómaczona na język polski i grana w Warszawie i w innych miastach. Ale pozbawiona tam właśnie tej okolicznościowej wartości, do której niema się klucza, jeśli się nie zna tutejszych stosunków i osobistości, schwyconych na gorącym uczynku i przytomnych na przedstawieniu w pierwszorzędnym łożach, musiała się ona wydać dość nudną, dość ciepłą wodą. Chociaż nie wszyscy mieli tę śmiałość, przyznać się do tego... pomyślcie sobie tylko... po tak wielkich sukcesach paryżkich! A przecież najtrafniej scharakteryzował tę sztukę Coquelin starszy, kiedy powiedział: „*Świat gdzie się nudzą*... a, to komedya Paillerona.“

Ale tu proszę o dozwolenie mi kilku słów wstępu, aby mógł określić należycie talent autora i wartość jego nowej komedyi.

Poszuwanie specyalności jest wrodzone Francuzom—a w raz znalezionej specyalności zamknąć się i obwarować, stanowi prawdziwe zadanie życia, dla każdego z tych, którym zdolności i nauka pozwalają osiągnięcia tego rezultatu. Ztąd nie zwyczajniejszego tutaj, nad owe kategorie ludzi wybitnych we wszelkich gałęziach nauki i przemysłu. Na każdym tu kroku prawie spotykasz ludzi należących do jakiegoś wyłącznego cechu, który staje się ochronką i przytuliskiem wszystkich kalek i chromych umysłów, pod głó-

wną dyrekcyą tych, co umieli w czynie zawładnąć tego rodzaju cechem, i których tu nazywają *malins*, a polodomeryjsku *ciętymi*.

Aby wejść do tego cechu, trzeba na to pewnych kwalifikacyi; niedosyć jest być kaleką lub chromym, trzeba mieć jeszcze nastrój i dostrój stosowny, coś jakby liberyą cechu—to jest: umieć grać w ton tego stowarzyszenia, do którego się jest wpuszczonym, i które dało świadectwo, *dignus est intrare!*

Możesz mieć więcej lub mniej rozumu od arcykapłanów, którzy tam pontyfikują, ale nie masz prawa wyróżniać się od innych tak, aby poznano zaraz, że należysz do innej parafii. Szare barwy, *aurea mediocritas*, oto najlepszy paszport; resztę werniksu da ci już samo wejście do cechu. Skoro bowiem tam jesteś, to znak, że jesteś dostatecznie wykwalifikowanym.

Oto przykład dotykający. Organizacya przeglądu, tak powszechnie znanego światu całemu z najlepszej strony pod nazwiskiem: „*Revue des deux mondes*“ i organizacya socyusów Francuskiego Teatru. A ponieważ chodzi nam w tej chwili o klucz do zrozumienia tego, czemu Pailleron zawdzięcza głównie swoją literacką wziętość, dodajmy tu doskonałą definicyą, jaką daje jeden z tutejszych literatów o organizacyi „*Sociétaires*“ Francuskiego Teatru, i sztuk, które oni przyjmują najchętniej, i dlaczego? Nic prawdziwszego, nie dokładniejszego, nad tę definicyą francuzka, chociaż wypowiedzianą w tonie żartobliwym i z ironią:

„Co zaś do ustępów (*tirades*)—powiada p. Guinon,—kiedy nasz socyusz dopadnie takiej, która mu jest na rękę, to już jej nie opuści aż do śmierci. Tak mu Boże dopomóż! Usadawia się w niej jak najwygodniej, gotuje sobie miękką pościółkę, wybiera się do niej, jak na wieś, ze sprzętami i meblami.“

„W takich warunkach, widoczną jest rzeczą, że sztuki, które stowarzyszony komedyi przenosi nad wszystko, są to owe nudne sztuki, pełne moralnych nauk, i w których występujące osoby, rozprawiają bez końca, dla jedynej przyjemności mówienia czystą francuzczyzną. Socyusz uważa ten rodzaj sztuk, jako *arcyliteracki*. Nienawidzi szczególnie sztuk komicznych—chyba, że były pisane sto lub dwieście lat temu, i że tradycja nadała im wartość klasyczną. W takim razie nasi socyusze grają ją z taką powagą, z taką wspaniałością, iż ta przestaje być wcale komiczną i staje się śmiertelnie nudną: jest to ich sposób ocalenia—jak powiadają: „*honoru domu*.“ Lecz jeśli przypadkiem się zdarzy, że przy Rue Richelieu grają czasem z wielkiem powodzeniem wesołą jaką komedya jednego z żyjących pisarzy, to nasz socyusz powie ci z miną kwaśną i wstrętą: „Na tej sztuce publiczność zanadto się śmieje. Należało to odesłać do teatru Cluny, (jakby się powiedziało u nas: „do ogródka“).“

Pailleron ma właśnie wszystkie zalety, jakich się domagają „*sociétaires*“ Teatru Francuskiego. Trzeba powiedzieć tę prawdę, choćby to mogło niepodobać się wielu uprzedzonym. Pailleron, jest to poprawny a nawet elegancki pisarz; dowcipny i zręczny urzędnik od dyalogów, ma on jeszcze mnóstwo zalet, ale jako pisarz dramatyczny, należy on do rodzaju najmiłszych towarzystwu Teatru Francuskiego. Braknie mu tego demona sztuki, o podszeptach mogących natchnąć życiem i ruchem wszystko, co płynie z pióra dramatycznego, i którego potężny podmuch porywa i unosi publiczność, jakby żdźbło słomy, jakby kłaczek puchu!

Nowa komedya to rodzona siostra owego *Świata nudów*, i gdyby nie socyusze, to jest aktorowie Teatru Francuskiego, którzy ją odegrali z mistrzostwem dykcji, będącym wyłączną zaletą artystów tej sceny, to i o niej możnaby powiedzieć, co Coquelin wyrzekł o jej starszej siostrze.

Osądźcie sami. Stary kawaler czując, że czas mu przyszedł złożyć berło *arbitra elegantiorum*, z paryżkiego bruku, nie mogąc już, jak niegdyś, bawić się w umory z Rozaliami i Franusiami, usuwa się na wieś—na prowincyą, gdzie się znajduje w sąsiedztwie pani Wojskiej. Jak to, Polka

Tak, i nie. Jest to Francuzka, z którą się ożenił ten pocziwy Wojski—nasz Polak, może Warszawianin nawet. Dosyć—ponieważ Polak, a więc w ręku Francuza musiał się stać bibułą—to też się rozpił tak, że ta pocziwa i zająca Francuzka musiała go kazać wywieźć gdzieś do szpitala... na rodzinną ziemię—jak nas naucza p. Pailleron.

Pani Wojska, nie jest to więc ani wdowa, ani mężatka; ma obok siebie swoją mamę, a przy sobie młodą szesnastoletnią panienkę, córkę, jak powiada mama de Moissand „z pierwszego małżeństwa mego drugiego męża,“ którą nazywają „myszką,“ bo chodzi tak drobnutko i cicho, iż nigdy nie słyhać, kiedy się zjawia. Stary kawaler, znowu odnawia zażyłość z Kupidysem i flirtuje na prawdę z panią hrabiną Wojską, nie zwracając najmniejszej uwagi na młodszego podlotka, co drobno i cicho chodzi. Nie dotąd ani porywającego, ani ciekawego!

(Dokończenie nastąpi).

KRAJ ASZANTYÓW.

I.

Konieczność wynajdywania sobie w dalekich stronach świata ziemi nowej, niewyexploatawnej jeszcze, mogącej dostarczyć chleba dla ludzi, którzy znajdują go już w ojczyźnie, dla rodzin całych szukających sobie miejsca i pracy, zdaje się być coraz gwałtowniejszą potrzebą wszystkich narodowości. To, czego Anglia dokonywała już od wieków, bo od wieków już jest Anglikom zaciąsną na ich wyspie, to obecnie zaczynają czynić wszystkie europejskie narody.

Zadaniem to już jest nieprzeparłej konieczności dla narodów, które doszły do kulminacyjnego szczytu cywilizacji: muszą wytwarzać sobie nowe ujścia dla przemysłu i handlu, uprawiać dziewicze ziemie, oświecać dzikie plemiona; a ruch w tym kierunku nazwać trzeba dziełem filantropijnem, bo darzy się w ten sposób, jakoby nowym życiem, wszystkich tych nędzarzy, których w Europie, coraz-to wzrastające postępy mechaniki pozbawiają pracy, więc zarobku i chleba. Znajdują go wprawdzie zdala od ojczyzny; niemniej przecież ich praca nie ginie dla niej, bo dalekie te osady rozszerzają ją i ubogacają, jeżeli tylko kraj ojczysty posiada dość potęgę, aby wychodzić swoim dawać opiekę i zapewnienie niezawisłości.

Podróżnik francuzki w okolicy podzwrotnikowej, Juliusz Gros, widząc budzący się między współrodakami swymi ruch kolonizacyjny ciężący ku Afryce, zwrócił się w te strony, do Gwinei: do Złotego Wybrzeża, a szczególnie ku krainie Aszantyów, z myślą utworzenia tam osad rolnych, aby następnie za ich pomocą połączyć wybrzeża z wnętrzem kraju.

Nie mogąc zapuścić się w głąb krainy Aszantyów, jak tego pragnął, z powodu wracej tam wojny domowej, która ukończyła się niezbyt dawno, zwycięstwem księcia Kwakoe-Duach, nad dawnym królem Koffi-Kalkalli i jego poprzednikiem Mecesa, musiał długo przebywać na Złotym Wybrzeżu, a złośliwa febra, jakiej podlegają tam często podróżnicy europejscy, zmusiła go w końcu do powrotu.

W każdym razie nie stracił on daremnie czasu, gdyż nauczył się języka miejscowego i dowiedział wielu rzeczy, stanowiących dla przyszłych jego trudów nabytek ważny. Tymczasem zaś opisał podróż swoją w sposób prawdziwie zajmujący.

Złote Wybrzeże jest częścią wybrzeża Gwinei, ciągnącego się od zachodu na wschód, które krajowcy, a za nimi i geografowie dzielą na: Wybrzeże Pieprzowe, czyli Liberyę, Wybrzeże Kości Słoniowej, Wybrzeże Złote, Wybrzeże Niewołników, Wybrzeże Benińskie, aż na koniec przychodzi zatoka Biafra.

Wybrzeże Złote do roku 1875 znajdowało się tylko pod protektoratem Wielkiej Brytanii, lecz od czasu wyprawy Anglików przeciw Aszantyom, wyniesione zostało do rzędu kolonii. Stosunki pomiędzy Europą a Złotym Wybrzeżem sięgają odległych czasów. Księżę Portugalski Henryk, zwany Żeglarzem, pierwszy zwrócił uwagę na zachodnie brzegi Afryki i wyprawa pod jego opieką urządzona dotarła w roku 1482 aż do Sierra Leone. Następnie wyjechał on od Papieża Marcina V akt oddający mu ziemie położone od Przylądka Mogador, aż do samych Indii Wschodnich, jednakże od roku 1482, to jest od śmierci księcia Henryka, Portugalczycy nie posunęli się dalej poza Sierra-Leone. Dopiero w r. 1482 król Jan Portugalski wyprawił don Diega d'Asambuyę, z poleceniem zbadania wybrzeży dalej ku południowi. Wyprawa składała się z siedmiuset ludzi. Don Diego, przybysz do Elminy, rozpoczął budowę twierdzy i pomimo zacieklego oporu krajowców, pomimo najzjadliwszej febrzy, trapiącej jego załogę i dziesiątkującej ją, pozostał wytrwale na stanowisku, aż do skończenia rozpoczętej warowni, która otrzymała nazwę Twierdzy S-go Jerzego.

Odkrycie Ameryki przez Krzysztofa Kolumba, i zbrodniczy handel Murzynami na zachodnim wybrzeżu Afryki, przywabiły na wybrzeża Gwinei inne jeszcze narodowości. Hollendrzy zakładali osady w rozlicznych punktach, mianowicie w Monroe; następnie w roku 1637 wyparli Portugalczyków z Elminy, którą zatrzymali aż do 1872.

Kraina Aszantyów, bez zaprzeczenia największe i najbogatsze państwo w Afryce zachodniej, leży na północ Złotego Wybrzeża, pomiędzy krajem Asturów na zachód, Woltą na wschód; na południe Prah oddziela ją od krain będących pod protektoratem angielskim. Góry Kongo stanowią ostateczną jej granicę. Aszanci, mówiąc o swym kraju, oddzielają zawsze krainę Aszanti-Pa, czyli Aszantję właściwą od jej prowincji i stanów hołdowniczych. Aszanti-Pa, Aszantja właściwa dzieli się na te okręgi, z których główne są: Atshoma część środkowa z miastem Kumassi, stolicą całego państwa. Atshoma znaczy: ziemia czerwona, bo takiej barwy jest grunt tej części kraju, od której miano swe przyjął.

Gaman, ze stolicą Buntuku nad rzeką Tanna, leży o dziesięć dni drogi na północo-zachód od Kumassi już prawie u stóp gór Kongo. Ta część zajęta prawie wyłącznie przez mahometan, posiada bogate kopalnie złota.

Skreślić historię Aszantji, chociażby tylko w zarysach, byłoby rzeczą nader trudną, jeżeli nie całkowicie nawet niemożliwą. Aszanci uważają wszelkie wspomniania o przeszłych władcach kraju lub zapytywanie jakiegoś o dziś panującego króla za coś grożącego niebezpieczeństwem. Polityka utwierdza jeszcze to zabobonne mniemanie. Prawo krajowe karze wszelkie rozmowy takie, jako zbrodnię stanu. A że przytem krajowcy nie umieją liczyć czasu, zatem dzieje ich nie mogły utworzyć historii i istnieje tylko między niemi trochę beładnych podań.

Pierwsi Biali, którzy pragnęli obznajmić się z położeniem geograficznym i historią rozlicznych plemion Afryki środkowej, musieli wszyscy powściągnąć swą ciekawość, z obawy, aby im tego nie policzono za zbrodnię.

Maurytanie przybywający tam dla handlu, starali się usilnie rozprzestrzeniać pomiędzy ludnością Aszantyów przekonanie, iż Europejczycy, są to szpiegi, którzy przegladają ich kraj, aby następnie naprowadzić na niego mordy i zniszczenie. Dopiero podługiem stosunku z Europejczykami Aszantjanie odzyskali zaufanie do podróżników, którzy poprzednio wzbudzali w nich trwogę i zazdrość. Jednakże ograniczenie ich umysłów, więcej nawet niż przesąd i zła wola nie dozwalały i wtedy powziąć jakichkolwiek pewnych objaśnień, tak, iż do wieku XVII nie na pewno o tem plemieniu powiedzieć nie można. Dokładniejsze szczegóły datują się właściwie od roku 1700. W owym czasie stolicą Aszantyów było Beka czyli Bekowae, miasto położone o sześć dziesiąt mil na południe Kumassi, lecz król pa-

nujący wówczas, Osas-Tutu, przeniósł stolicę właśnie do tego ostatniego miasta.

II.

Aszanci zajmują się handlem, a czynią to dość sprytnie. Są oni po większej części wzrostu nieznacznie wysokiego, chudzi, kościści, zwinni, ru-chliwi, trzeźwi, odważni, ale umysłowo nadzwyczaj mało rozwinięci. Przesądni są niesłychanie, a ich wigwamy czyli chaty nie zalecają się schludnością. Król i wodzowie w dni wielkich uroczystości lub przy jakichś nadzwyczajnych wydarzeniach przystajają się zdziwili, ale wielkim przepychem; szaty ich są jedwabne, a miecze u boku mają szczerolote główne.

Głównym przemysłem Aszantjów jest wyrób przedmiotów złotych i żelaznych, garncarstwo oraz wytwarzanie jedwabnych tkanin.

Oddalenie ich kraju od oceanu, nie dozwala im zbywać miejscowych wyrobów, gdy ziemię pod protektoratem angielskim są zamknięte; prowadzą jednak handel przez karawany, udające się do Tombaktu i tym sposobem niektóre ich wyroby dostają się aż za odległe wybrzeża Morza Śródziemnego.

Natura hojnie wyposaża ziemię Aszantyów, nie tylko przepyszną roślinnością i nadzwyczajną żyznością, lecz umieściła w jej łonie rozliczne cenne kruszcze. Strumienie i rzeki przecinające tę rozległą krainę nie tylko stanowią o jej wielkiej urodzajności, lecz w przyszłości, gdy cywilizacja europejska przeniknie tam nareszcie, ułatwiać one będą przemysł, a szczególnie górniczy.

Oprócz złota i żelaza, które znajduje się obficie na całej przestrzeni i Aszantji, jest tam jeszcze wiele innych kruszców. Źródła posiadają też składowe części mineralne, godne zbadania. Wody, naprzekład, w okolicach Kumassi posiadają własność nadawania czarnej barwy, jakgdyby hebanu każdemu drzewu zanurzonemu w nich czas jakiś. Im drzewo miększe, tem szybciej zmienia ta następuje. Wszyscy, którzy znają bogactwa tych okolic Afryki, słusznie dziwić się mogą temu mnóstwu wychodźców europejskich, ciśnących się wyłącznie do Ameryki i Australii, zwłaszcza w celach poszukiwania złota. Tu-to raczej należało by się zwracać, ku tym pasom ziemi zasługującym najzupełniej na swe miano Złotego Wybrzeża.

Podają wprawdzie jako powód tego stanu rzeczy, to, że w Afryce złoto otrzymuje się w proszku, a nie w bryłkach. Fałsz to przecież. W Aszantji znajduje się ono tak samo w bryłkach i odłamkach, jak i gdzieindziej. Lasy pełne są drzew farbiarskich, budulcowych, oraz przydatnych na najwybitniejsze wyroby stolarskie. Cedr, heban, mahon i jakieś drzewo koloru szafrowego rośnie tu obficie, a oprócz tego znajduje się jeszcze wielka liczba rozlicznych gatunków drzew, wydających gumę białą i żółtą. Jest też gumma kopalowa i gutaperka.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

List z Anglii.

D. 25 Stycznia.

Godziło mi się może pisać do was na Nowy Rok, życząc, aby był dobrym i łaskawym w wypełnieniu tych nadziei, których różową zorzą wschodzi na widnokrąg świata; że przecież stare Fatum ma być podobno nie tylko ślepem, ale i głuchem, przebaczenie mi zatem to przypomnienie. Tu, podobnie jak tam u was, Boże Narodzenie jest główną uroczystością, rodzinną i społeczną, z religijnym i obrzędowym charakterem; na Nowy Rok ludzie zadawalniają się

konwencyonalną zamianą życzeń, załatwianych w części przez bilety, które obecnie moda chce mieć ozdobione wytwornym i specjalnym rysunkiem.

Koniec ubiegłego roku budził tu w mnóstwie ludzi bardzo żywe zajęcie sferami niebieskimi, bo spodziewano się gwiazdy, która według pewnych obserwacji ma się zjawiać na widnokręgu co lat 315 i jest Gwiazdą Betleemską, wiodącą niegdyś Trzech Króli do Żłobku Chrystusowego. Że w Grudniu właśnie Venus świeciła bardzo jasno, jako gwiazda zaranna, poczęto ją uważać za ową przewodniczkę Magów, aż ktoś zwrócił się z zapytaniem listownem do dyrektora królewskiego obserwatorium w Greenwich: „Astronomer Royal,“ jak się tu mówi i otrzymał odpowiedź, daną w zastępstwie przez jego adjunkta, H. Turnera, a którą przedrukowały dzienniki, że Venus to jest, wschodząca około 4-tej godziny rano, i świecąca prawidłowo we wschodniej stronie nieba. Jest jednak znaczna liczba takich, którzy nie chcą zrzec się tej wiary, że oglądali gwiazdę cudów.

Książę Norfolk, pan ze starożytnej rodziny katolickiej, wysłany do Rzymu, jako nadzwyczajny poseł królowej Wiktorii, dla złożenia w jej imieniu życzeń i pamiątkowych darów jubileuszowych Leonowi XIII, miał ze sobą liczny orszak, nie tylko urzędowy. Towarzyszyło mu wiele osób z wysokiej arystokracji, pragnących wyrazić Papieżowi cześć swą synowską, gdyż Katolicyzm czyni tu od lat kilku zadziwiające postępy, zwłaszcza w sferach wyższych społeczeństwa. W tej chwili nie mam pod ręką liczb statystycznych, które tego niezbitnie dowodzą, ale prześlę je wam w liście następnym, świadczące, jak prąd, który zowie się powrotem do dawnego obrządku, zaznacza się silnie. Kościół anglikański, państwowy: „The High Church“ nazywał się zawsze katolickim i dowodził, że nim jest, ponieważ posiadał biskupów, którzy święcenie swoje otrzymali od pasterzy rzymsko-katolickiego kościoła, więc filiacja apostolska nigdy przerwana nie została.

Ponieważ stosunków urzędowych ze Stolicą Apostolską nie było tu już od dwóch wieków, zapomniano o pewnym obowiązującym przepisie ceremoniału etykiety papieżkiej, a to, że kobiety nie mogą znajdować się w orszaku poselskim do Watykanu. Żony, które tu przybyły z mężami, musiały obrać sobie mieszkanie oddzielne, w hotelu innym, niż zajmowany przez poselstwo królowej Wiktorii, i być zapisane w innej zupełnie księdze podróży.

Poselstwo księcia Norfolk do Watykanu wywołało tu, a szczególnie w Irlandyi, bolesne pogłoski, że Papież dotknie reprobacją swoją tę nieszczęśliwą krainę, że monsignor Persico, bawiący tam jako nuncjusz papieżki dla zbadania stosunków, będzie organem surowej nagany Ojca Świętego i uderzy jej gromem zwłaszcza duchowieństwo irlandzkie, wiernie stojące przy współpracach swoich w odczuwaniu wiekowej krzywdy, która ze strony Anglii dzieje się Irlandyi. Duchowieństwo irlandzkie, z arcybiskupem dublińskim na czele, było przecież przyjmowanem w Watykanie, a choć występowało jawnie i otwarcie w przedstawieniu żaloby swojej—nędz i potrzeb ubogiej ludności zielonego Erynu, nie usłyszało jednak z ust Papieża żadnego wyroku potępienia. Przeciwnie, wskutek tego, co mu przełożonem zostało przez usta kleru irlandzkiego, wysłał papież ponownie do Irlandyi nuncjusza Persico, aby zgromadził dokładne dokumenta tej nieszczęśliwej sprawy.

Arcybiskup anglikański Manning, jest dawnym, wiernym przyjacielem i obrońcą biednej krainy, walczącej wytrwale przez tyle wieków, i podobno miał on pisać do Ojca Świętego, polecając jego łasce lud jej niebogi. Przytem książę Norfolk jest osobistością za szlachetną, za wysoko położoną, aby podjął się smutnej misji, mającej za cel zgłębienie jego nieszczęśliwych współwyznawców. Tak tu utrzymują wszyscy, bo trzeba wiedzieć, że partya katolicka w Anglii stoi zawsze wśród rozpraw parlamentu po stronie Irlandyi w sprawie innego uregulowania stosun-

ków rolnych i nawet popiera pewne jej pragnienia autonomiczne.

Anglia miała też własną i niemałego znaczenia uroczystość jubileuszową do obchodzenia. Stoletnią, w d. 22 Stycznia przypadającą rocznicę urodzin Byrona, a rysem to jest wielce charakterystycznym, że jej nie obchodziła wcale! Tylko Grecy, zamieszkujący Londyn, odprawili za duszę jego nabożeństwo żałobne i z resztą nie było nic—nic zgoła... Byron: lord Jerzy Noel Byron—to wielki poeta, ale człowiek słaby, namiętny, i występuje tu ów kant angielski, o którym dużo jest do powiedzenia za i przeciw. Urodzony z matki Szkotki, Gordonówny, był też tylko półanglikiem, bo wziął po matce całą tę naturę galijską, gwałtowną i nierówną, pełną najszlachetniejszych aspiracji i spadającą nagle na poziom bardzo niski, a którą widzimy oto działającą podobnie w Irlandyi. Ale głównem nieszczęściem jego życia była żona, kobieta ciasnego serca i umysłu, zrozumieć go niezdolna w tem, co duch ten miał wielkiego i szlachetnego, a mściwie zacięta i niemilosierna na to, co było z jego strony winą. Nie umiała przebaczyć i dlatego straciła go nazawsze, a jeszcze w kilkadziesiąt lat po śmierci, wylała w ucho innej kobiety tego co i ona autoramentu ducha: autorki sławnej „Chaty wuja Toma“ zkaźniad przeciw suchej purytanki, całą swą złość, fermentującą w niej dotąd i powstała z tego ohydna książka, spotwarzająca poetę wtedy już, gdy ciało jego rozsypało się w grobie, gdy sąd nad nim odbył się oddawna przed Bogiem i ludźmi.

Dość tego: tej mściwości pośmiertnej, aby wykazać, jaka to była natura twarda i surowa, stojąca w najwyższej sprzeczności z usposobieniem męża—nie kobieca. Kraży tu sposobem podania fakt jeden drobny, ale wielce charakterystyczny. Małżonkowie byli raz w teatrze na jakiejś sztuce Shakespeare'a i on tak się uczuł uniesiony tragicznością przedmiotu, że po skończonym akcie, biegł w milczeniu tam i napowrót po saloniku, znajdującym się poza lożą i naraz rzucił w ogień zegar, stojący na kominku. Że ona krzyknęła na razie, to rzecz łatwa do zrozumienia; ale to wykazuje, jaką była, że napisała zaraz o tem do domu, do rodziny i poczęła go się lękać odtąd, uważać za waryata i głosić to o nim przed swoimi, aby go wkrótce porzucić, odjechać, uwożąc i dziecko, więc opuszczając go i osamotniając zarazem—obierając jego życie z pociech i pomocy wszelkich. Ponieważ siostra jego, Augusta, tkliwszego serca, więc litościwsza i więcej wybaczyć zdolna kobieta nie odrzuciła podobnie brata, ona do tego stopnia zrozumieć jej nie mogła, że poposepna jej wyobraźnia wymyśliła potwarz dziwką, którą rozgłosiła.

Gdyby był trafił na na kobietę inną, nie tak egoistyczną, więc mniej zaciętą w żalu po zawiedzionych swych nadziejach szczęścia domowego—na kobietę więcej uczuciową i wyższego umysłu, życie poety byłoby poszło torem innym i ojczyzna nie byłaby w następstwie tego, co się stało, odrzuciła od swego łona jednego z największych swych synów, bo Byron jest nim niewątpliwie i obok Shakespeare'a stoi na najwyższym miejscu Parnasu angielskiego.

I dziś oto, gdy wszystkie cywilizowane narody świata święcą wiekową rocznicę jego narodzin, tylko kraj ojczysty nie dał mu żadnego wieńca, nie uczcił go żadnym aktem pamięci...

Tu jednak jest to co innego, niż twardość, na egoizmie oparta. Tu jest jakoby sąd Minosa nad duchem człowieka, branego w całości swojej. Byronowi brakło charakteru i cnoty podniosłe wiedzonego, czystego istnienia i odmówiono mu apoteozy pośmiertnej na zasadzie, że należy się on tym tylko, którzy to posiadają—nie wpuszczono go do panteonu wielkich ludzi Anglii. Talent, gieniusz, to dar—życie uczciwe, to zasługa własna, więc tytuł konieczny, aby mogło nastąpić takie, przez naród przyznane wyniesienie. Uczciwymi obyczajami stoją narody, charakterystyczny stanowią o ich sile i potędze: więc lud angielski surowo zaprzeczył praw do ogólnego uwielbienia temu, który nie mógł się wywieść z dostojności takiej.

Ci, od których to zależało, aby pamięć Byrona otrzymała cześć narodową, czyż mogą nie czuć wielkości jego umysłu i poetycznego jego gieniuszu? Anglia ma dość ludzi, którzy są zdolni sądzić go z tej strony i każdy angielski mąż stanu, każdy człowiek wpływowy jest tu osobistością wyższego wykształcenia, wyższego smaku literackiego, ale nie chciano pominąć milczeniem moralnych skaz na człowieka. Cześć narodowa, honory jej publiczne należą się tylko niekazitelnym i choć dzisiejsza Francja jest pod tym względem właśnie tak znędzniła i upadła, że się stacza ze swej wielkości dawnej narodu, który duchem przewodniczył światu, przypomnijmy sobie, jak tam ciężko przyszło postawienie pomnika dla Sand? Potrzebowano ułagodzić opinią publiczną drukowaniem listów z tej epoki jej życia, kiedy stojąc u jego końca, obejrzała się poza siebie i smutnie jęknęła nad sobą—kryła się, aby płakać... Leczyć to jeszcze nie byłoby pomogło w innej, szlachetniejszej epoce narodowego życia Francji, kiedy jej świeciły wyższe, górniejsze ideały.

Anglia odrzucającą dumną negacją jednego z takich swych synów, którego świat cały okrzyczał wielkim, stanęła wobec tego świata w postawie wynioslejszej, niż matka Koryolana. Takie matki przecież nie bywają nigdy osierocone i bezdzietnie—rodzą się z nich zawsze wielcy synowie!

Pomyślny tylko, co to za przykład, spartańskiego ostracyzmu, taki Byron, pozbawiony od ojczyzny wieńca na grobie!...

Mimo tak podniosłej skali moralności publicznej, zdarzył się tu skandal niesłychany i to w najwyższych już sferach literackich. Lord Tennyson, poeta laureat: „poeta królowej“, którego otaczał dotąd ogólny szacunek tych nawet ludzi, którzy nie cenili zbyt wysoko jego spokojnego i miłego talentu średniej miary, został nagle uderzony ciężkim, bo zniesławiającym go ciosem, jakoby nie on był autorem większej części i najważniejszych poezji, noszących przeciw jego nazwisko w książkach, które sam drukował. A zarzut wyszedł od człowieka, którego też lekceważyć nie można, od drugiego poety—od poety najpierwszego dziś w Anglii, od Swinburne'a, który publicznie wystąpił z twierdzeniem, że autorem utworów, przywłaszczonych sobie przez Tennysona jest—Darwin!...

Że grób odpowiadać nie może, rzecz całą kręci się wkoło trudnych do rozstrzygnięcia dowodów i hipotez za i przeciw, w czym biorą udział pisma najpoważniejsze, stając po jednej lub drugiej stronie. Swinburne umieścił w numerze styczniowym czasopisma „Nineteenth Century“ (Wiek Dziewiętnasty), artykuł pod tytułem: „Dethroning Tennyson's Contribution to the Tennyson—Darwin Controversy“, a Ateneum londyńskie pisze, że Swinburne dostał do rąk papiery miss Celii Hobbes, wiedniejącej niesprawiedliwie „languishing unjustly“ w domu obłąkanych: w Hanwell Asylum, a która poświęciła kilka lat upartego zajęcia i wielkiej bystrości w kryptografii, aby dowiedzieć, że autorem poezji, przypisywanych Tennysonowi, bo drukowanych pod jego nazwiskiem—jest Darwin.

Lord Tennyson wyjechał tymczasem za granicę; bawi w Paryżu, gdzie bywa w świecie literackim, na posiedzeniach akademickich, znosząc rzecz z obojętnym na oko spokojem. Gdyby nawet niewinność jego wyszła na jaw, gdyby się pokazało, że miss Hobbes jest rzeczywiście wariatką, w każdym razie rzecz to musi być dlań niesłychanie dotkliwą, a gdy się przypomni, że to starzec już jest, który przywykł przez lat wiele do szacunku ludzkiego, można czuć nad nim litość.

Czy przeciw Swinburne odważyłby się płocno występować z taką sprawą? Gdyby nawet była prawdziwą żalować należy, że ją podniósł, on poeta także i wysokiej miary. Są ludzie, przypuszczający zazdrość, co odrzucić trzeba, jako zarzut gruby i nieuzasadniony, bo Tennyson przedstawia już przeszłość, gdy Swinburne ma przed sobą przyszłość i talent. może mniej sympatyczny dla większości czytelników angielskich, niemniej

przecież niezaprzeczany mu i posiadający też swoje koło wielbicieli.

(Dokończenie nastąpi).

Z DZIAŁU PRZYRODY

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Ilość tlenu w powietrzu.—Wrażliwość powonienia.—Odosobnienie Fluoru.—„Theismus“ i „Coffeismus.“—Nowe środki lekarskie: kokaina, salol, antypiryna.—Instykt u ryb.—Kanał Panamski.

Zwartość tlenu w powietrzu, tego niezbędnego pierwiastku dla życia organicznego, była w rozmaitych epokach określaną. Nie podobna z tych obliczeń nie zawyrokować, że ilość tlenu w powietrzu co do czasu i miejsca na naszym globie podlega bezustannie zmianom, wprowadzie bardzo nieznaczny, ale w każdym razie dającym się naukowo dokładnie określić. Badania tego rodzaju pod względem naukowym są wielce interesujące, a przeprowadzane peryodycznie, stać się mogą materiałem, objaśniającym wiele zjawisk naturalnych. Badania Egipcjan nad zaćmieniem słońca i księżyca przyczyniły się do wyjaśnienia tych fenomenów natury, podobnie notowania peryodyczne zawartości tlenu w atmosferze, w pewnych odstępach czasu i pewnych miejscowościach, mogą z czasem stać się źródłami dla badań naukowych z tym kierunkiem.

W tym celu w roku zeszłym, z inicjatywy profesora Hempla z Drezna, w czasie od d. 1 Kwietnia do 15 Maja, czynione były analizy powietrza atmosferycznego w następujących miejscowościach: w Cleveland (Ameryka Północna), Para (Brazylia), w Bonn, Dreźnie i Tromsø (Norwegia); robiono je codziennie z uwzględnieniem miejscowych warunków. Badania w Bonn uskutecznił na miejscu professor Kendler, podobnie w Cleveland robił analizy professor Morley. Z Para i Tromsø przysyłano do Drezna profesorowi Hemplowi powietrze w zapieczętowanych butelkach. Według rozmaitych prób wykonane analizy wykazały zawartość tlenu w powietrzu jak następuje:

Cleveland . . .	20,933	procentów
Para	20,890	„
Bonn	20,922	„
Drezno	20,900	„
Tromsø	20,920	„

Liczby te odpowiadają w zupełności tym, jakie znaleźli Bunsen, Régnault i inni w swych poszukiwaniach.

Widzimy, że wahania w różnych miejscowościach są niezmiernie małe, może być jedynie zależne od wadliwości w wykonywaniu samych analiz; mimo to badania winny być bezustannie prowadzone, i to, oile możliwości, w jaknajwiększej liczbie, dane bowiem w tym przedmiocie, oddać mogą wielką usługę zarówno medycynie, jak i przemysłowi.

* * *

Wrażliwość zmysłu powonienia jest niezmiernie wielką. Nerw węchowy reaguje na tak drobne cząsteczki ciał wydających woń, że ich prawie w liczbach przedstawić niepodobna. Dawniejsze badania w tym względzie, dokonane przez Valentin'a, wykazały, że powonieniem można rozpoznać brom w $\frac{1}{600}$ mg; siarko-wodoru $\frac{1}{3,000}$ mg; a olejek różany w $\frac{1}{20,000}$. W ostatnich czasach Fischerowi i Petzoldowi udało się określić jeszcze daleko subtelniejsze ilości, robiąc doświadczenia z ciałami wydającymi bardzo silną woń, takimi, jak Mercaptan i Chlorphenol. Próby z powyższymi substancjami wykonywano

w następujący sposób. Jeden z wymienionych chemików roztrwor alkoholiczny badanej substancji, rozpylał w pustym pokoju, mającym 230 ctm. przestrzeni, następnie za pośrednictwem chora-giewki powietrze dokładnie mieszał, poczem drugi wchodził do pokoju dla ocenienia zapachu próbowanego ciała. Mercaptanu użytą była ilość 1 mg. a chlorphenolu 0,01 mg. Ponieważ ilość powietrza, jaką nozdrza są w stanie wciągnąć, wynosi około 50 cc., pokazuje się, że $\frac{1}{460,000}$ mg. Chlorphenolu a $\frac{1}{460,000,000}$ mg. Mercaptanu sprowadzają reakcyę w nerwie węchowym.

Niesłychany wpływ jaki wywołuje Mercaptan na zmysł powonienia, radzą powyżsi uczeni spożytkować przy celach dezynfekcyjnych, geologicznych i. t. p.

* * *

Pierwiastek chemiczny Fluor (Fl. symbol chemiczny), należący do grupy haloidów, nie był dotychczas znany w stanie odosobnionym, a to z przyczyny wielkiego powinowactwa jego do innych ciał, z którymi natychmiast się łączy, tworząc związek chemiczny. Próbowano wydzielić go z fluorku srebra lub ołowiu działaniem suchego chloru w aparatach umyślnie do tego celu zbudowanych z flusspatu, usiłowania jednakże zawsze były bezskutecznymi. W naturze znajduje się on w bardzo niewielkiej ilości, i to najczęściej w połączeniu z wapniem (Ca Fl) tworząc minerał zwanu flusspatem, prócz tego wiadomo, że znajduje się w małej ilości w kościach i zębach, do których dostaje się z pożywieniem roślinnem. Pod względem własności chemicznych podobnym jest do chloru i innych haloidów, szczególnie chętnie łączy się z metalami i wodorem.

W roku zeszłym udało się francuzkiemu chemikowi panu H. Moissan w Sorbonnie, przezwyciężyć trudności, których dotąd żaden z chemików nie pokonał i otrzymać fluor w stanie odosobnionym. Akademia Umiejętności w Paryżu wyznaczyła kommisją do zbadania odkrycia pana Moissan.

Złożono sprawozdanie, które tu w streszczeniu zamieszczamy.

W rurze platynowej, zatkaney z dwóch końców korkami z flusspatu, poddawał p. Moissan kwas fluorowodorny działaniu zimna od 23 do 50° i działaniu elektryczności z 20 elementów Bunsena. Skutkiem tego otrzymał przy biegunie ujemnym gaz, który się okazał wodorem, przy dodatnim biegunie zaś gaz o następujących własnościach:

Jest on kompletnie pochłanianym przez rtęć;
Rozkłada wodę na zimno wydzielając ozon;
Fosfor w jego obecności zapala się;
Siarka rozgrzewa się i topi bardzo szybko;
Na węgiel nie wywiera żadnego działania;
Chlorek potassu rozkłada na zimno, przyczem chlor się wydziela, i t. p.

Z tych własności tego gazu zadecydowano, że jest pierwiastkiem a mianowicie fluorem, którego przedtem w stanie odosobnionym otrzymać się nie udało.

* * *

Dr Ch. Eloy opisuje chorobę, która bierze początek w nadmiernem picu herbaty. Nazwał ją *theismus*. Choroba przedstawia pewne symptomy, które stanowią trzy peryody: pierwszy ostry, drugi przyostry (subcut) i trzeci chroniczny.

W początkach t. j. w pierwszym peryodzie, zaburzenia są tego rodzaju, jakie widzimy u osób, które jednorazowo wypijają nadmierną ilość zbyt mocnej herbaty, a więc excytacja mózgowia, przyływ krwi do tego organu, kolory na twarzy, i ogólne przyjemne uczucie. Z czasem jednakże obraz zupełnie się zmienia i osoby, które przez czas dłuższy nadużywają herbaty, podlegają przynębieniu (depressio) fizycznemu i moralnemu. Stają się nerwowymi, skóra jest bladą, doświadczają palpitacji serca i zazwyczaj starają się pokonać te objawy zapijaniem wielkiej ilości ulu-

bionego napoju, dzięki któremu jeszcze na pewien czas doznają polepszenia chwilowego i tak upragnionych przyjemnych wrażeń. Jest to peryod przyostry.

W chronicznym peryodzie choroby doznają halucynacyi, w czasie snu—strachu i drżenia nerwowego, prócz tego przyłączają się bóle głowy, przejściowe paraliże i zaburzenia w funkcji trawienia.

Jednem słowem: „theismus“ objawia się ciężkimi zaburzeniami w krążeniu krwi, innerwacyi i przemianie materii. U osób używających wiele ruchu, lub pracujących fizycznie, zaburzenia te występują rzadziej lub też zupełnie ich nie widać, lecz u kobiet i młodych mężczyzn, prowadzących siedzący sposób życia, u których przemiana materii odbywa się bardzo wolno, „theismus“ pojawia się często, i to dosyć dotkliwie.

Dodać wypada do cierpienia opisanego przez D-ra Ch. Eloy, że zupełnie podobny alkaloid jak i zawiera się w herbacie (*theinum*), mieści się i w kawie (*coffeinum*), że przeto i tego napoju w nadmiarze używać nie należy.

A dzieje się to w sposób prawie przerażający!

* * *

Wielkie rozpowszechnienie, jakie zyskała kokaina w medycynie skłania nas do poświęcenia jej kilku słów.

Kokaina jest alkaloidem; znalazł ją Nieman w *Krasnodrzewie pospolitym* (*Erythroxylon coca*), a który Shull radzi otrzymywać w następujący sposób: Pokrajane liście traktuje się wyskokiem i następnie dodaje wapna w celu wydzielenia materii barwnikowej. Po odciedzeniu płynu wyparowywa się gotowaniem, do gęstości syropu dolewa wody i ogrzewa do zupełnego ulotnienia się wyskoku. Następnie dodaje się potażu gryzącego, wytrawia eterem, odbarwia węglem zwierzęcym i paruje do krystalizacyi; wtedy otrzymujemy alkaloid zwany Kokainą.

Przedstawia się ona w postaci jednoskośnoosiowych pryzm, drobnych, bez zapachu, smaku gorzkiego, palącego, wywołującego zdrętwienie języka. W wodzie trudno się rozpuszcza, łatwiej w wyskoku, a bardzo łatwo w eterze i chloroformie. Topi się w 98° C., lecz nie jest lotną, przy oziębianiu ścina się w krystaliczną masę. Z kwasami łączy się, dając trudne krystaliczne sole z wyjątkiem chlorku kokainy (*cocainum muriaticum*), krystalizującego w pryzmy.

Wogóle w działaniu na organizm zwierzęcy jest środkiem odurzającym, w małych dawkach działa pobudzająco; działanie jej jest zbliżone do działania atropiny i kofeiny.

Dawka nie powinna przekraczać 0,10 gramma. Główne jednakże zastosowanie ma kokaina jako środek znieczulający i w tym celu bywa stosowana miejscowo na błony śluzowe. Roztwór kokainy, wkroplony w oko, pozwala takie operacje, jak usuwanie katarakty, wykonywać bez bólu. Przy zapaleniach gardzieli i niemożności łykania skutkiem bólu oddaje również nieocenione usługi.

Wogóle środek ten z dniem każdym znajduje nowe zastosowanie w medycynie praktycznej.

Z nowych środków lekarskich zanotować jeszcze wypada *Salol*, mający podobne działanie jak salicylan sodu, a posiadający wysokie własności antyseptyczne. Sok żołądkowy nie wywiera na niego działania, lecz rozpuszcza się dopiero w dwunastnicy pod działaniem soku pankreatycznego, i skutkiem tego nie wywołuje zaburzeń w trawieniu.

Antipiryna, proszek otrzymany przez Knorr'a z pierwiastków smoły węgla kamiennego przez działanie eteru octowego na anilinę, jest także nowym środkiem lekarskim.

W wodzie rozpuszcza się bardzo łatwo i posiada tę własność, że zażyta w ilości jednego gramma zniża temperaturę ciała, w chorobach gorączkowych, o 2 lub nawet o 3 stopnie. Prócz tego w ostatnich czasach przepisywano ją z wielkim skutkiem w bólach głowy i w początkach migreny.

* * *

W „Science et Nature,” zamieszczony został opis zdarzenia, jakie miało miejsce w akwaryum w Neapolu a stwierdzające istnienie instynktu u ryb. W pomienionem akwaryum wielki szczupak żywiony był peryodycznie małymi rybkami, które wpuszczano do przedziału mieszczącego króla ryb. Pewnego razu odgrodzono część przedziału za pośrednictwem szklanej tafli i w takową wpuszczono kilka małych rybek; szczupak kilkakrotnie rzucił się na swą zdobycz lecz ponosił o tafle kontuzję, tak, iż nareszcie zaniechał zamiaru zaspokojenia apetytu. Gdy po kilku dniach tafle wyjęto i wpuszczono nowy żer, szczupak nie ruszył się z miejsca, z obawy wybicia swych śpiczastych ząbków!

Dowód niezbity instynktu samozachowawczego.

* * *

Na ostatniem posiedzeniu Akademii Umiejętności w Paryżu, „znakomity Francuz” jak go rodacy nazywają, genialny inżynier, Ferdynand de Lesseps, oświadczył, iż roboty około przekopania Kanału Panamskiego postępują bezustannie w należytem porządku, i że w niedługim już czasie ruch okrętów między dwoma oceanami dojdzie do skutku.

Będzie to, bez zaprzeczenia, jedno z największych dzieł, jakie ręka ludzka wykonała na naszym ziemskim globie. Trudności, jakie przychodziło pokonywać i jakiej doniosłości będzie dla handlu i przemysłu ta nowa droga, skracająca w znakomity sposób przestrzeń między Europą i Australią podaliśmy N 13 *Bluszczu* z roku zeszłego. Dziś zaznaczamy tylko, że pesymistyczne poglądy się na dzieło olbrzymie Lessepsa, upadają w zupełności, i należy wierzyć, że chwila uroczysta, którą jedynie porównać można z uroczystością otwarcia Kanału Suezkiego, jest bliską urzeczywistnienia.

Dr S.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— W Poznaniu została otwartą Wystawą sztuki artystów polskich. Mieści się ona w sali Teatru i liczy najwięcej okazów wziętych z muzeum *Towarzystwa Przyjaciół Nauk*. Rzeźbiarz Marcinowski, rodem z Poznańskiego, nadesłał znaczną liczbę utworów swoich, między którymi odznacza się popiersie Taczanowskiego.

— We Lwowie wyjdzie wkrótce nowy tom poezji Ely'ego.

— Książę Adam Sapieha zapisał wszystkich urzędników dóbr swoich do *Stowarzyszenia wzajemnej pomocy oficyalistów prywatnych*, zapewniając im tym sposobem spokojną starość przez emeryturę, do której nabywają przez to prawa.

— Czterowiekowa rocznica odkrycia Ameryki przez Kolumba, będzie obchodzoną w 1892 r. Hiszpania postawi mu pomnik w Palos. Stany Zjednoczone wezmą pieniężny udział w uroczystościach, które Hiszpania uczyć chce swego wielkiego syna.

— Wystawa międzynarodowa sztuki w Barcelonie, pierwsza w Hiszpanii, otwartą zostanie w d. 8 Kwietnia r. b. i trwać będzie sześć miesięcy. Termin nadsyłania okazów jest do d. 1 Kwietnia.

— Trzecia międzynarodowa wystawa sztuki

w Monachium, zostająca pod protektorem księcia-regenta bawarskiego, z międzynarodowym sądem dla nagród najwyższych, które będą stanowiły złote medale, otwiera się w d. 1 Czerwca r. b. i trwać będzie do końca Października. Oprócz zakupu dzieł wystawionych przez Muzeum państwowe Bawaryi, urzędzonym zostanie ze względu na interes artystów losowanie nadesłanych okazów. Ostateczny termin zgłoszenia się o miejsce jest d. 15 Kwietnia. Korrespondencye do odnoszące się do wystawy, należy adresować: „Wetsch freres à Munnich, Schützenstrasse Nr 5,” gdyż komitet wystawy powierzył temu domowi załatwienie wszelkich formalności w tym kierunku. Komitet przyjmuje na siebie znaczną część kosztów, ponoszonych zwykle przez wystawców, a to: assekurowanie od ognia i pomieszczenie nadesłanych okazów, przywiezienie ich z dworca kolei do gmachu wystawy i wysłanie ztamtąd napowrót na tenże dworzec, rozpakowanie i upakowanie powtórne.

Wystawa przemysłowa w Monachium otwarta będzie w tymże czasie, co i Wystawa Sztuk Pięknych.

— **Turyńska Akademia Umiejętności** przyznała Pasteur'owie wielką międzynarodową nagrodę w summie 1,200 franków.

— **Francuskie Towarzystwo Geograficzne** przyjmowało uroczyste w amfiteatrze Sorbony d. 25 Stycznia trzech podróżników, powracających do kraju z odbytych podróży: Bonvalet'a, Capus'a i Pepin'a. Witał ich Lesseps, Bonvalet opowiedział następnie dzieje swej podróży przez Persję, Turkestan, płaskowzgórza Pamir'u i góry Himalaja.

— **Angielski podróżnik**, Douglas Treshfield wszedł na najwyższy szczyt Kaukazu „Tetnuld”, wysoki na 5,100 metrów. Następnie dostawał się po kolei na inne szczyty także bardzo wyniosłe.

— **Żelazny człowiek**, „A Vasember” trzyaktowa tragedia węgierskiego poety Czikey, premiowana na konkursie Telekyego i w d. 20 Stycznia grana w Narodowym Teatrze w Peszcie, wzbudziła taki zapal, że okrzyki uniesienia słuchaczy przerwały bieg gry aktorów,

— **Dramat Wiktora Hugo** „Ruy Blas” został przerobiony na libretto do opery Godard'a przez znanych librecistów francuskich Detroyat i Siivestre.

— **Dwa tysiące pięćset tomów** dzieł, które w Bibliotece Akademii Paryżkiej zalała woda w skutek popękania przez mrozy rur wodociągowych, okazała się prawie doszczętnie zniszczoną.

— W sferach artystycznych Paryża zamyślają o utworzeniu galerii portretów najznakomitszych żyjących malarzy, odpowiadającej sławnej florenckiej galerii Uffizi. Każdy z tych mistrzów malowałby się sam, a wszystkie te portrety razem zebrane, pomieszczonoby w Luwrze lub w Wersalu, gdzieby je przyłączono do istniejącego już tam zbioru portretów.

— **Obraz Munkaczego**: „Chrystus na krzyżu,” ukazał się w Paryżu w reprodukcji sztychu, nad którym sztycharz Kapping pracował lat cztery. Sztych ten nie ukaże się wcale w handlu, bo dokonana została taka tylko liczba egzemplarzy, ile było przedpłatników: książę Wallii jest na ich czele. Prawo do wydawania w produkcjach dzieł Munkaczego posiada tylko jedna osoba: Sedelmayer, zamieszkujący Paryż.

— **Dar cesarza chińskiego** przysłany królowej Wiktorii, jako upominek jubileuszowy, a który przywiozło do Londynu specjalne poselstwo, jest niezmiernie oryginalny i bogaty. Składa się on

z pięćdziesięciu zwitów jedwabnych, haftowanych bardzo wytwornie i kosztownie złotem i srebrem we wzory rzadkiej piękności i czystości rysunku, jakkolwiek są trzymane w stylu chińskim. usiłują wedle niego odpowiadać uroczystości jubileuszowej i godności królowej Wiktorii. I tak jeden przedstawia chińskiego fenixa: cudownego ptaka, który ukazuje się ludziom niezmiernie rzadko, ale już potem żyje lat sto. Dalej idzie bajeczne drzewo, legendowa brzoskwinia, która zakwitła raz na tysiąc lat. Dar to jest główny, ale dołączone jest do niego mnóstwo przepięknych, jako punszt, rzeczy, które obecnie są wystawione w Londynie na widok publiczny. Doroszedł ręk królowej w Grudniu ubiegłego roku. Poselstwo samo było niezmiernie świetnie reprezentowane.

— **Los wyprawy Stanley'a** rozstrzygnął się okrutnie. Zginął, jak już niemal z pewnością twierdzić można, gdy porzuciwszy drogę wodną, puścił się lądową, z celem dotarcia do Wadalaju, gdzie sądził, że stanie około 15 Sierpnia. Ostatnie wiadomości jakie doszły od niego datowane są z końca Czerwca i w tych już znajduje się wzmianka, iż w okolicach które przebywa, trudno jest o zapasy pożywienia dla jego orszaku, który liczył 700 ludzi. Nawet bananów, na które rachowano z pewnością, nie znajdowano w ilości dostatecznej, a im dalej zapuszczano się w głąb, tem znalezienie żywności stawało się trudniejsze. A że w czasie odpowiadającym naszej jesieni, to jest od października następuje w okolicach podzwrotnikowych pora deszczów, bardzo przykra dla Europejczyków, utrudniało to podróż i pochód pośpieszniejszy, któryby pozwolił wydostać się w okolice lepiej zapatrzone pod względem zasobów żywności. Stanley rozpocząwszy drogę lądową wysyłał zwykle z każdego miejsca odpoczynku kilku ludzi, którzy donosili najbliższym stacyom o stanie jego orszaku i warunkach pochodu, a wszyscy komendanci owych stacyi mieli najusilniej nakazane, aby wiadomości te przesyłali dalej przez umyślnych posłańców, lub przez parowce państwa Kongo. Tym sposobem wieści o nim, gdyby były jakie, doszły do San-Paolo di Loanda, gdzie ich brak stwierdza już poniekąd, że wyprawę spotkał los okrutny.

Nie można przypuścić, aby wyprawa tak liczna i dobrze uzbrojona zginęła w walce z krajowcami, prędzej już bandy Arabów, trudniących się łowami murzynów, a krążące w okolicach między Zanzibarem a państwem Kongo, mogły ją napaść i rozbić. Ale poczta świeżo nadeszła do Bruxelli każe na pewno już przypuścić, że nieszczęśliwi zginęli straszną śmiercią głodową w kraju Mabad, gdzie w roku zeszłym panował ciężki głód i gdzie nie można też było znaleźć zapasów na wyżywienie tak licznej orszaku. Krążą też pogłoski, że Arab Tippo-Tip, z którym Stanley zawarł umowę o dowożenie żywności, zdradził go, gdyż zniósł, zacierając wszelki ślad za sobą.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dołącza się Arkusz 13-ty powieści pod tytułem: *Książę Saracinesca*, przez M. Crawford.

TREŚĆ: Praca kobiet na wystawie tkackiej, przez M. Ilnicką. — W rocznicę śmierci, poezja, przez Helenę Thullie. — Na starym gruncie, powieść (dalszy ciąg), przez M. Febroniusza. — Nowiny paryżkie. — Kraj Aszantyów, (Gwineja). — List z Anglii. — Z działu przyrody, przez Dr S. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 13-ty powieści pod tytułem: *Książę Saracinesca*, przez Maryana Crawford. — 24 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycję stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 27 Января 1888 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.